

Dwie ojczyzny - dwa patriotyzmy

Jan Józef Lipski

Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków. Ojczyzna istnieje tylko wtedy, gdy istnieje też obczyzna; nie ma "swoich", gdy nie ma "obcych". Od stosunku do "obcych" bardziej niż od stosunku do "swoich" zależy kształt patriotyzmu. Jest w tym zawsze coś paradoksalnego, że miłość do kraju i do własnego narodu określana być może dopiero przez stosunek do innych krajów i innych narodów, lecz jest to paradoks właściwy wszelkiemu myślowemu i uczuciowemu wyodrębnieniu.

Kto to są „swoi” - a kto „obcy”? Czym się różni „mój” kraj - od nie mojego? Mój naród - od nie mojego?

Nie chodzi w tych pytaniach o jakieś treści opisowe: że my mówimy po polsku - a „oni” w innych językach; że żyjemy np. w innej strukturze kulturalnej niż „oni” - bo przyjęliśmy chrześcijaństwo w X wieku z Zachodu, bo z Zachodu przyszedł do nas Renesans, Oświecenie, Romantyzm itd. - bo nawet jeśli uważa ktoś z nas, że największym poetą, jakiego ludzkość wydała, jest Goethe albo Dante, albo Shakespeare - to jednak Mickiewicz i Słowacki jakoś inaczej tkwią w nas (czy my w nich) - bo wrosły nam chyba już na zawsze w narodową pamięć lata niewoli i walki o wyzwolenie się z niej itd., itd.; że nawet być może (choć to sporne) cechuje nas w większości coś takiego jak polski charakter narodowy. Rzecz nie w stwierdzeniach opisowych, a w wartościach i ocenach; czy uważamy się za lepszych - czy tylko za innych; czy sądzimy, że w tej inności jest jakaś szczególna wartość (i jaka?); czy uważamy, że przysługują nam z jakiegoś tytułu

szczególne prawa i przywileje - a może obowiązki. Zależnie od odpowiedzi na te pytania - wyznajemy różne patriotyzmy. W skrajnych wypadkach - należymy właściwie do różnych ojczyzn - jeśli ojczyzna to przede wszystkim dobra duchowe i wartości, a nie tylko fakt takiej, a nie innej przynależności etnicznej.

Świat wartości, z którego trzeba spojrzeć na zagadnienie ojczyzny - to przede wszystkim, choć nie wyłącznie, świat wartości moralnych. Należymy do tego kręgu kulturowego, którego pojęcia etyczne ukształtowało głównie chrześcijaństwo. Wierzący i niewierzący - zostaliśmy ukształtowani przez nakaz miłości bliźniego, podstawowy drogowskaz moralny naszej kultury. Nie chciałbym przez to stwierdzenie odbierać wagi dorobkowi moralnemu innych religii i światopoglądów. Judaizm, z którego wyszło chrześcijaństwo, islam, buddyzm, hinduizm, najbardziej laicka z nich kultura etyczna konfucjanizmu itd. - dopracowały się godnego szacunku dorobku w dziedzinie etyki. Myśliciele naszego kręgu kulturowego, reprezentujący nurt areligijny, laicki - wzbogacili również naszą refleksję etyczną i świadomość. Niemniej jednak wychowało nas przede wszystkim właśnie chrześcijaństwo - i w podstawowych ideach tej etyki chcemy pozostać. Sądzę, że szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego co obce, egoizm narodowy - nie dadzą się pogodzić z nakazem chrześcijańskim miłości bliźniego. Patriotyzm natomiast - daje się pogodzić. Tak jak szczególna miłość w rodzinie nie musi i nie powinna być przeszkodą dla miłości bliźniego - tak i szczególna miłość dla członków tej samej wspólnoty narodowej winna być podporządkowana tej samej nadrzędnej

normie moralnej. Patriotyzm jest z miłości - i do miłości ma prowadzić; wszelka inna jego forma jest deformacją etyczną.

"Miłość do wszystkiego co polskie" - to częsta formuła narodowej, "patriotycznej" głupoty. Bo "polskie" były przecież i ONR, i pogromy we Lwowie, Przytyku i Kielcach, i getto ławkowe, i pacyfikacje wsi ukraińskich, i Brześć, i Bereza, i obóz w Jabłonie w 1920 roku - by poprzestać na 20 zaledwie latach naszej historii. Patriotyzm - to nie tylko szacunek i miłość do tradycji, lecz również nieubłagana selekcja elementów tej tradycji, obowiązek intelektualnej pracy w tym zakresie. Wina za fałszywą ocenę przeszłości, za utrwalanie fałszywych moralnie mitów narodowych, za służące megalomanii narodowej przemilczanie ciemnych plam własnej historii - jest zapewne mniejsza z moralnego punktu widzenia niż praktykowanie zła wobec bliźnich, lecz przecież jest przesłanką aktualnego zła i drogą do przyszłego.

Nie lubimy przypominać sobie podboju ogniem i mieczem Jadźwingów - to psułoby nam obraz narodu polskiego, który rzekomo nikogo nigdy nie podbijał. Nie lubimy umieszczać w naszych kompendiach historycznych wiadomości o wymordowaniu załogi Wielkich Łuków po kapitulacji - bo to niezgodne z rycersko-humanitarnym stereotypem naszych dziejów. Zapominamy o metodach zwalczania buntów i powstań ukraińskich, o rajdzie naszego bohatera narodowego Stefana Czarnieckiego, mordującego wieś za wsią, aż do niemowlęcia; o obłudnym kołowrocie wzajemnych odwetów i kontrodwetów,

stanowiących od paruset lat ponurą treść historii polsko-ukraińskiej. Szczycimy się polską tolerancją - by półgębkiem tylko wspominać, kiedy się skończyła i jak. Szczycimy się tragicznym udziałem polskich żołnierzy w kampanii hiszpańskiej Napoleona - tak jakby Somosierra, rozgromienie żołnierzy broniących niepodległości swej ojczyzny, była kartą chwały, a staramy się zrobić, co można, by zapomnieć o hańbie Saragossy, lub ją zakłamać. O niektórych ciemnych kartach okresu dwudziestolecia międzywojennego już wspominałem.

Nie wolno nam tak postępować! Każde przemilczenie - staje się oliwą do ognia megalomanii narodowej, jest chorobą; każde uchylene się od uznania własnych win - jest niszczeniem etosu narodowego.

Mamy w polskiej literaturze historycznej dwie tradycje: jedna służy megalomanii narodowej, druga to tradycja Żeromskiego, gorzka tradycja obrachunków: Saragossa jest tu tragedią i hańbą narodową zarazem; zaborca austriacki przychodzi z ustawodawstwem niosącym pewien postęp socjalny; chłop polski z okresu Powstania Styczniowego pokazany jest z naturalistyczną prawdą, jakżeż daleką od "patriotycznych" malowanek; Polska niepodległa, jej aparat władzy zostaje straszliwie - i ostrzegawczo - oskarżony w "Przedwiośniu". Musimy wrócić do Żeromskiego i jego patriotyzmu, którego wyrazem jest jego twórczość. Trzeba paradoksów lat sześćdziesiątych w PRL, by Andrzej Wajda został z pozycji "patriotycznych" zaatakowany właśnie za to, co znalazł u Żeromskiego; by twórczość autora „Rozdziobią nas kruki, wrony” stała się tematem czytanek historyczno-literackich w okresie ofensywy

moczaryzmu.

Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową ofensywę "patriotyzmu" - jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwizytornią miłą przeważnie Polakowi - czają się przeważnie cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze na ullańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę. „Jest to coś na kształt bagniska, traf tam, a coraz głębiej wciska” - pisze Miłosz w "Traktacie moralnym".

Ojczyźniano-patriotycznej frazeologii w prasie oficjalnej towarzyszy od lat już wielu nagonka na tych, którzy ośmielają się psuć malowanki i panoramki dla głuptasków. Utkwiła mi w pamięci szczególnie ofensywa na "Wariacje pocztowe" Kazimierza Brandysa. Jest to jedna z najambitniejszych i najmądrzejszych książek tego autora. Cała sfera bardzo "patriotycznych" dziennikarzy i krytyków rzuciła się na niego, jako na tego... który ośmiesza i wyszydza naszą przeszłość. Było to zdumiewające, Brandys w sposób przejmujący przedstawił los jednej polskiej rodziny, która w każdym kolejnym pokoleniu zrywa się wraz z narodem do walki o niepodległość ojczyzny - i w każdym pokoleniu ponosi klęskę, strącającą pokonanych na dno nędzy, chorób, wykolejenia społecznego i psychicznego. Taka właśnie jest tragiczna prawda o losie jeśli nie całego narodu - to przynajmniej elity, niosącej w sobie jego samoświadomość. Czytałem tę powieść tak, jak czyta się relacje historyków o kolejnych klęskach narodowych, chorując prawie podczas lektury; jeszcze raz przeżywałem tragizm naszych dziejów. I potem

dowiaduję się, że autor "Wariacji pocztówek"...
ośmiesza i wyszydza. To zależy, jakie kto ma poczucie
humoru i na jaki temat...

Kampanię tę - i inne podobne - prowadziły z reguły te
same pisma i przeważnie te same pióra, które
poznaliśmy w pamiętnym roku 1968. Lokaj sowiecki
przebrał się w mundur ułański...

Nad tym trzeba się zastanowić: jaką funkcję spełniać
mają te maskarady "ułańców rakowieckich"?* Kogo
mają ogłupić, kogo zwabić na "patriotyczną" przynętę,
kogo zatruć jadem szowinizmu.? Co to ma wspólnego
z miłością ojczyzny? I jakiej ojczyzny?

Stare hasło "Bij Żyda, spasaj Rassiju" odżyło na
naszych oczach... Jak za cara, jak za ochrany. Nawet
metody niewiele się zmieniły w swej istocie - choć
kamufaż "patriotyczny" na tę skalę i w tym stylu jest tu
czymś nowym: ONR też był "patriotyczny" - tym razem
jednak jest to antysemityzm państwowy
niesuwerennego państwa. "Spasaj Rassiju".

Gdyby to była sprawa tylko prasy oficjalnej, gdyby nikt
nie łapał się na tę przynętę "patriotyczną", gdyby nie
było w tradycjach polskich tych wątków, które nagle jak
czuły kamerton zaczynają współdźwięczeć - nie byłoby
o czym pisać ani z czym polemizować. Ale tak niestety
nie jest. Akcenty megalomanii narodowej i ksenofobii
znaleźć można też w prasie nieocenzurowanej, a więc
autentycznej.

Trzeba wyraźnie i jasno tu powiedzieć: nie zawsze
możliwy jest dialog; często sama próba podjęcia go
bywa hańbą (jeśli nie jest zwykłą głupotą). Z

bohaterami antysemickich wybryków w "marcowej" prasie dialogu być nie może - ani z tymi, którzy widzą w tej brudnej publicystyce wyraz swych przekonań. Nie mamy z nimi wspólnej ojczyzny, ani nie chcemy z nimi mieć w ogóle niczego wspólnego. Ale między patriotyzmem Słonimskiego, Ossowskich, Jasienicy (specjalnie wymieniam nazwiska twórców bardzo różniących się między sobą - i zarazem podobnych do siebie we wspólnym mianowniku humanizmu i patriotyzmu; najbliższych ideowych patronów, więcej, współtwórców dzisiejszego ruchu demokratycznej opozycji) - a "patriotyzmem" Filipskich, Gontarzów, Kąkolów rozciąga się ogromna przestrzeń społeczna, wypełniona gęsto ludźmi, o których rozgrywa się dopiero walka: którą ojczyznę wybiorą? Nie wolno pod żadnym pozorem zrezygnować z tych wszystkich, którzy zaczadzeni są ksenofobią i megalomanią narodową, ale nienawiść i pycha nie zdeformowały jeszcze ostatecznie i nieodwracalnie ich umysłów i uczuć. Walka o kształt polskiego patriotyzmu będzie rozstrzygająca dla losów naszego narodu - dla losów moralnych, kulturalnych, politycznych.

Ksenofobia i megalomania narodowa wzajemnie się żywią i wspierają. Wiemy, ile wycierpiała Polska od Rosjan i Niemców - co nie usprawiedliwia przekraczania granic głupoty i nienawiści w stosunku do tych narodów; głupotą i nienawiścią człowiek i naród sam sobie szkodzi. Sfaszyczeni Ukraińcy dali się nam we znaki w latach czterdziestych - tu jednak nawet rachunek krzywd i win jest już inny niż z Niemcami, co nic nie pomaga Ukraińcom w potocznej świadomości polskiej. Ale czemu tak często Polak pogardza Czechem ("Pepiczkiem")? Tu widać, jak spleta się ze sobą ksenofobia ze zidioceniem, by

zgodnie doprowadzić w sierpniu niektórych naszych rodaków do wewnętrznego przyzwolenia na to, co było zarówno przeciw moralności, jak i przeciw naszym narodowym interesom, na inwazję w Czechosłowacji.

Wróćmy do sprawy stosunku ogromnej większości Polaków do Niemców i Rosjan. Trzeba powtórzyć, że nienawiścią i głupotą człowieka i naród sam sobie szkodzi. Niedostrzeganie moralnych problemów tam, gdzie są, bo tak jest wygodniej - deprawuje moralnie. Do Niemców mamy od wieków wiele pretensji. To cesarze niemieccy najeżdżali nasz kraj, by go sobie podporządkować, nie odwrotnie. Teutoński Zakon Krzyżowy Najświętszej Marii Panny był zmorą Prusów, Litwinów, Pomorzan i Polaków. Prusacy wraz z Rosjanami i również niemieckojęzycznymi Austriakami rozebrali I-szą Rzeczpospolitą. Rugi, Hakata, prześladowania narodowo-religijne pod pruskim zaborem były już pierwszą zapowiedzią tego, co stało się w czasie drugiej wojny światowej. O ogromie zbrodni hitlerowskich na ziemi polskiej nie ma się co rozwodzić. Musiał jednak przyjść moment - jeśli chcieliśmy pozostać w kręgu chrześcijańskiej etyki i cywilizacji zachodnioeuropejskiej - by powiedzieć: "Wybaczymy i prosimy o wybaczenie". W sytuacji zniewolenia narodu powiedział to największy niezależny autorytet moralny, jaki nam pozostał: Kościół polski. To zdanie - mimo wszelkich resentymentów, opartych na rzeczywistych krzywdach - musimy uznać za swoje. By je przyjąć, wystarczyłaby jego treść moralna. Ale obok treści moralnej jest w nim też narodowa i kulturalna: jako naród o poczuciu przynależności do zachodniego kręgu kultury śródziemnomorskiej - marzymy o powrocie do naszej szerszej ojczyzny, do Europy. Stąd konieczność

pojednania z Niemcami, którzy w tej Europie już są - i nadal będą. Wyciągnięcie ręki przez Episkopat Polski do Episkopatu Niemiec - było najśmielszym i najbardziej dalekowzrocznym czynem powojennej historii Polski.

Głos Episkopatu Polski do Episkopatu Niemiec stawia jednak przede wszystkim problem, którego nie wyminie się, jeśli chce się pozostać wiernym chrześcijaństwu: problem również naszych win wobec Niemców. W Polsce nie znosi się takiego postawienia sprawy - i nietrudno to zrozumieć, gdyż proporcje są uderzająco nierówne. Nie można się jednak godzić z lekceważeniem własnych win, nawet gdy są nieporównywalnie mniejsze od cudzych.

Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawinili na pewno poparciem Hitlera, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru - w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy - czynem dobrym. To prawda, że z pewnością nie byłoby sprawiedliwe, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał płacić na dodatek sam wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które - jak się zdaje - jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła nie może jednak znieczulać na zagadnienie moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest mniejszym i niemożliwym do uniknięcia złem. To trudno: albo chce się być chrześcijaninem, albo nie... Jeśli nim się jest -

wie się, że zasada zbiorowej odpowiedzialności nie ma nic wspólnego z etyką, którą wyznajemy; że nawet jeśli musielibyśmy wybrać mniejsze zło - nie wolno nam zła nazywać dobrem; że wyrządzenie zła stwarza zobowiązanie moralne, choćby ten, kto go od nas doznał, wyrządził nam stokroć więcej zła - a na dodatek w słabym stopniu odczuwał potrzebę zadośćuczynienia.

Zasada mniejszej niesprawiedliwości, konieczność urządzenia życia milionom Polaków opuszczających z konieczności swą ojczyznę na wschodnich ziemiach II-giej Rzeczypospolitej - jest zresztą jedynym usprawiedliwieniem tego, co się stało. Nie usprawiedliwiałyby tego w żaden sposób racje historyczne - bardzo wątpliwe, jak dalej zobaczymy - ani etniczne, z wyjątkiem może Opolszczyzny, co też jest dyskusyjne. Przejdźmy się po Warmii i Mazurach, by na własne oczy zobaczyć, ilu tam napotkamy autochtonicznych Polaków, tzn. Mazurów i Warmiaków! Tym bardziej niepokoi, jako objaw zatrucia etyki narodowej przez nacjonalizm, że od czasu do czasu pokazują się artykuły, których autorzy przechwalają się, iż jeszcze przed drugą wojną światową - a więc przed faktem napadu na Polskę, przed eksterminacją milionów obywateli polskich przez Niemców, przed pojawieniem się problemu znalezienia terenów do życia milionom Polaków z Kresów Wschodnich - grupy polityczne, z którymi byli ci autorzy związani, żądały Polski po Odrę i Nyse, ze Szczecinem i Wrocławiem. To nie są artykuły stwierdzające interesujący fakt - to akceptacja ówczesnych programów, które wówczas były planami zaborczymi, sprzecznymi z zasadami układania stosunków między narodami zgodnie z etyką

chrześcijańską. Przypominać te wstydlive epizody historii ideologicznej z aprobatą - to objaw degeneracji etycznej, a zarazem zresztą głupota polityczna.

W polskiej świadomości naszych stosunków historycznych z Niemcami narosło masę mitów i fałszywych wyobrażeń, które trzeba będzie kiedyś odkłamać - w imię prawdy i w celu leczenia siebie samych: fałszywe wyobrażenia o własnej historii są chorobą ducha narodu, służą przeważnie za pożywkę ksenofobii i megalomanii narodowej.

Prawie każdy Polak (nawet wykształcony!) wierzy dziś, że wróciliśmy po drugiej wojnie światowej na ziemię zagrabione nam przez Niemców. Tyczyć to może Gdańska i Warmii od pokoju toruńskiego (1466) do rozbiorów należących do I-szej Rzeczypospolitej - choć zresztą Gdańsk i Warmia były wówczas i do końca drugiej wojny światowej w większości etnicznie niemieckie. Reszta Prus Wschodnich nigdy polska nie była, a Niemcy zdobyli te ziemie nie na Polakach, a na Prusach, narodzie pokrewnym Litwinom. Polska mniejszość na tym terenie (Mazurzy), zresztą słabo uświadomiona w swej masie, to ludność napływowa, sprowadzona głównie przez Albrechta Hohenzollerna z Polski; nie wiedział biedak, że powinien realizować idee Drang nach Osten i Prusy zaludniać tylko Niemcami. Zachodnie Pomorze - etnicznie też niepolskie, choć słowiańskie - zrzuciło parokrotnie z uporem swą zależność od Polski i wytworzyło własną organizację państwową, zniszczoną przez Szwedów dopiero w XVII wieku. Prusacy wzięli te ziemie, zamieszkane nie przez Polaków, Szwedom, nie Polsce. Zniemczenie Pomorza Zachodniego odbyło się bez gwałtów, drogą naturalną. Śląsk jeszcze w

Średniowieczu zhołdowany został przez Czechów - i wraz z Czechami wszedł w skład monarchii austriackiej. Prusy zabrały go Austriakom, nie Polsce, dopiero w XVIII wieku, gdy procesy niemczenia się Dolnego Śląska, również naturalnego, dokonującego się bez przymusu, były już mocno zaawansowane. Śląsk Opolski i Śląsk Górny zachowały swą etniczną polskość. Zorganizowany i skuteczny w pewnym stopniu nacisk germanizacyjny na tych ziemiach to dopiero druga połowa wieku XIX i XX wiek. Natomiast my nie chcemy z kolei dziś pamiętać, że są to ziemie, na których przez parę setek lat kwitła kultura niemiecka, Czytamy rzewne felietony o Piastach Śląskich, ich zamkach i pałacach, ale nikt nam nie mówi, że już Henryk Probus znany jest niemieckim podręcznikiem literatury jako Minnesanger (niemieckojęzyczny trubadur), układający swe poezje w tym samym języku co Walter von der Vogelwede, co Hermann von Aue, gdy polska liryka miłosna miała powstać i rozkwitnąć dopiero po dwu wiekach. To postać symboliczna w dziejach Śląska.

Po wiekach rozwoju kultury niemieckiej obok polskiej na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Warmii i Mazurach, w Gdańsku (przytłaczająco niemieckim) - i od dawna wyłącznie niemieckiej na Pomorzu Zachodnim - przypadł nam w wyniku historycznych przemian bogaty spadek architektury i innych dzieł sztuki oraz pamiątek historycznych niemieckich. Jesteśmy wobec ludzkości depozytariuszami tego dorobku. Zobowiązuje nas to, by z całą świadomością, że strzeżemy dorobku kultury niemieckiej, bez zakłamań i przemilczeń w tej dziedzinie - chronić te skarby dla przyszłości, również naszej.

Pokutuje w Polsce mit Drang nach Osten - wychwycony z głupiej i zbrodniczej mitologii wilhelmińskich Niemiec. Rozprawiał się z jego przejściem przez polską publicystykę Antoni Gołubiew w „Tygodniku Powszechnym”, w artykule zbyt mało dostrzeżonym, który powinien wejść do podstawowych lektur polskiego inteligenta. Wiadomo, że zachodnia granica I-szej Rzeczypospolitej była przez wieki jedną z najspokojniejszych i najtrwalszych w Europie. Zaborczość państwa krzyżackiego była zaledwie fragmentem dziejów Niemiec średniowiecznych.

Natomiast nie lubi się u nas pisać i pamiętać o tym, co zawdzięczamy cywilizacyjnie i kulturalnie Niemcom. Że dach i cegła, że murarz, drukarz, malarz i snycerz, że setki słów polszczyzny dokumentują, co zawdzięczamy naszym sąsiadom zza zachodniej miedzy. Piękny dorobek architektoniczny i rzeźby, malarstwa i innych sztuk i rzemiosł w Krakowie i wielu innych miastach i miasteczkach Polski, nie tylko w Średniowieczu, lecz częściowo i później, aż po wiek XIX - to w dużej części dzieła Niemców, którzy tu osiedlali się i wzbogacali naszą kulturę. Każdy prawie Polak wie o Wicie Stwoszu, nie każdy wie, że był to etniczny Niemiec (chwała nauce polskiej, że przeprowadziła w tej sprawie pracami ks. Bolesława Przybyszewskiego dowód ostateczny), wielu wyobraża sobie, że był Polakiem i gotowi spoliczkować każdego, kto temu zaprzeczy, nikt zaś poza specjalistami nie zna setek, a może nawet tysięcy imion i nazwisk twórców-Niemców, którzy zostawili niezatarty ślad w naszej kulturze.

Historia winna być wrotami w przyszłość. Co chcemy wybrać jako symbole dla przyszłości: czy Grunwald - czy Legnicę, gdzie Polacy i Niemcy stanęli razem na

drodze ... (dziś powiedzielibyśmy: dywizjonom konnym) Batuchana? Grunwald pozostanie oczywiście na zawsze w pamięci narodowej - ale czy ma to być tylko Grunwald? Niszczenie polskiej kultury przez hitlerowców podczas drugiej wojny światowej - czy jej wzbogacanie przez Wita Stwosza i setki mniej znanych znakomitych artystów ma dominować w naszej świadomości? Czy w Oświęcimiu chcemy zapamiętać tylko Niemców-oprawców, czy też i tych Niemców, choć była ich garstka, którzy nie tylko jako więźniowie, ale też jako członkowie załogi obozu walczyli ze złem? (Pisze o tym w swej źródłowej, wydanej przed kilkunastu laty w Londynie pracy pt. "Oświęcim walczący" emigracyjny pisarz i historyk Józef Garliński - a celnicy polscy odbierają tę książkę na granicy). Czy Niemcami mają być w naszej świadomości tylko gestapowcy i SS? Czy Niemcami nie byli także bohaterowie ze związku Weisse Rose z Monachium, podejmujący w samym jądrze ciemności najtrudniejszą z walk, walkę przeciw "swoim", w czasie toczącej się wojny?

Weisse Rose była to szaleńcza grupa prawdziwych chrześcijan, którzy czynem - takim, na jaki było ich stać - zaświadczyli, że inaczej niż większość ich rodaków w owych latach byli chrześcijanami nie tylko z nazwy, że gotowi byli przyjąć męczeństwo, by dać świadectwo prawdzie i dobru. Ich kult - choć nic z Polską nie mieli bezpośrednio wspólnego - powinien być i u nas żywy: po pierwsze - właśnie dlatego, że są to Niemcy, że są to ludzie należący do tego samego narodu co mordercy milionów podczas drugiej wojny światowej; po drugie - by uświadomić nam dyrektywę etyczną głoszącą, że gdy własny naród i własne państwo wchodzi na drogę zbrodni i zła -

obowiązkiem moralnym jest przeciwstawić się temu, choćby nawet naród i państwo toczyły wojnę na zewnątrz. Czy bohaterowie z Weisse Rose niegodni są nazwania ich patriotami niemieckimi? Czy byli zdrajcami swego narodu? Przeciwnie, to oni ratowali resztki godności i wartości moralnych swego narodu - i oni tworzyli wartości niezbędne dla przyszłych Niemiec. W duszach swych nosili inną ojczyznę niż ta, w której mieli nieszczęście żyć i umrzeć męczeńską śmiercią.

Lek i nieufność, jaką żywi wobec Niemców znaczna część Polaków - są zrozumiałe. Byłoby lekkomyślnością i głupotą zakładać, że w Niemczech, w ich stosunku do nas i w ogóle w ich mentalności bez śladu zanikły toksyny nacjonalizmu, nawarstwiające się od ery bismarckowsko-wilhelmińskiej - a jeśli ktoś chce, to może i wcześniej, od początku XIX wieku. Nie brak faktów - rozdmuchiwanych zresztą przez naszą urzędową propagandę ponad ich proporcje w życiu dzisiejszych Niemiec - świadczących, że z uwagą winniśmy śledzić stan potencjalnej gotowości części Niemców do recydywy. Zarazem jednak winniśmy zrobić maksimum tego, co można, by z naszej strony stworzyć optymalne przesłanki do pojednania naszych narodów. Przede wszystkim musimy niejedno zmienić w nas samych i naszej świadomości historycznej, by to było możliwe.

Z Rosjanami stan polskiej przeciętnej świadomości wygląda inaczej niż z Niemcami. Do Niemców zebrało się dużo nienawiści zmieszanej z lękiem - lecz i dużo respektu. W stosunku do Rosjan przeważa - również

obok nienawiści (chyba znacznie mniej głęboko zakorzenionej niż wobec Niemców i łagodniejszej) i lęku (lęk z koszmarnych snów o czołgach sowieckich strzelających do zbuntowanych Polaków) - lekceważenie, poczucie wyższości. Skąd się ono wzięło - diabli wiedzą, ale Polacy na ogół przekonani są o niższości kultury rosyjskiej wobec polskiej. „Wyższość” i „niższość” kulturalna narodów to temat cienki i niebezpieczny. Narody przypominają pod wieloma względami osoby ludzkie. Tak jak dla człowieka wychowanego w etyce chrześcijańskiej i świadomie, rozumiejąc ją, akceptującego, że każda osoba ludzka ma wartość i godność nie mniejszą od innej osoby, choć jeden jest mądry, drugi głupi, jeden dobry, drugi zły - tak i każdy naród ma swą wartość i godność niezależnie od tego, czy opętany jest w danej chwili przez hitleryzm, czy ma bogatą sztukę itd. Wiem, że Litwini nie mają poetów miary Mickiewicza i Słowackiego, dramaturgów klasy Wyspiańskiego itd. (z „i tak dalej” lepiej być ostrożnym: Ciurlionis należy moim zdaniem do najwybitniejszych malarzy świata w swej epoce) - i nie ośmieliłbym się mimo to odczuwać lekceważenia wobec ich kultury narodowej. Nie ma tu miejsca na rozważania, dlaczego tak jest. Być może chodzi o to, że wiem, iż człowiek żyjący w kulturze litewskiej znajduje w niej dostateczną podstawę, by rozwinąć pełnię człowieczeństwa w sobie. Ale tym bardziej dziwne, skąd to częste w Polsce przekonanie o własnej wyższości kulturalnej wobec Rosjan?

Mieć poczucie wyższości kulturalnej wobec narodu, który wydał Dostojewskiego i Tołstoja, nie licząc co najmniej dwu dziesiątków pisarzy, którzy mogliby być chlubą każdej literatury europejskiej, wobec narodu Rublowa i Mendelejewa, i Strawińskiego - to chyba

duże nieporozumienie. Jest to naród, który stworzył byliny i wielkie malarstwo cerkiewne już wówczas, gdy my mieliśmy literaturę narodową jeszcze ubożuchną - a malarstwo w powijakach. Żaden z polskich pisarzy nie wywarł takiego wpływu na literaturę Zachodu, tego Zachodu, do którego chcemy należeć - jak Dostojewski, Tołstoj, Turgieniew, Czechow. Nic też nie wskazuje, by kultura duchowa chłopów polskich była bogatsza niż rosyjskich. Są tylko inne. Jest coś groteskowego i żałosnego zarazem w megalomańskim poczuciu wyższości wielu Polaków nad Rosjanami.

Postawa ta bywa zresztą uzasadniana również od innej strony. W polskiej ideologii od dawna, od czasów romantyzmu, mają obieg koncepcje, według których rosyjska kultura została uwarunkowana dwojako - i negatywnie - przez skrzyżowanie się wpływów bizantyjskich i mongolsko-tatarskich (turańskich). W ostatnich czasach można zauważyć w i prasie, i innych publikacjach nieocenzurowanych zawrotną karierę koncepcji Feliksa Konecznego w tym zakresie. W wielkim skrócie można powiedzieć, iż rezultatem tej krzyżówki bizantyjsko-turańskiej jest kultura, w której podporządkowanie jednostki hierarchicznej władzy jest czymś oczywistym, kolektywizm dominuje nad osobą, etyka hordy nad etyką jednostki.

Jak zwykle w wypadkach takich uogólnień - coś jest na rzeczy i zarazem aż zbyt wiele nie chce się zgadzać. Tradycje despotyzmu moskiewskiego pewnie coś genetycznie mają w sobie z wzoru władzy chińskiej, a pozycja i rola cara oraz jego dworu w tym systemie z pewnością świadomie wzorowana była na Bizancjum. Ale przeciw tej tradycji jest w Rosji tradycja inna, tradycja duchowej niepodległości, od kniazia

Kurbskiego bądź dawniej się poczynająca: tradycja niezgody i szukania oparcia ideowego na Zachodzie. Rosja dekabrystów, Hercena, Bezkiszina i innych uczestników Powstania Styczniowego, Ziemi i Woli, narodników - to nie Rosja bizantyjsko-turańska. W naszym czasie Rosjanie stworzyli niedawno słowo samizdat, którym i my się nieraz dziś posługujemy, byli pierwsi, pokazali drogę, płacąc za to wielką cenę, a komitet wielkiego Sacharowa jest natchnieniem i wzorem dla nas. U nich w dodatku trudniej - i więcej trzeba odwagi.

Pamiętajmy, że wyzwolenie całej środkowo-wschodniej Europy z totalizmu sowieckiego zależy głównie od ruchów emancypacyjnych w ZSRR. Najlichnieszy i największą rolę odgrywający w imperium naród rosyjski daleki jest jeszcze od tego, by upomnieć się o demokratyczne prawa. Jako naród uciskany jest przy tym, naturalną rzeczą koleją, szczególnie zdemoralizowany. Tu najbardziej rozkwita nowe zjawisko: "patriotyzm" sowiecki (niestety, z tym zjawiskiem można zetknąć się nie tylko u Rosjan); tu najłatwiej znaleźć zwolenników polityki interwencyjno-pacyfikacyjnej, trzymającej w ryzach państwa satelickie; tu każda wzmianka o tym, że samostanowienie narodów ZSRR może stać się faktem - budzi przeważnie gniew. Tym większy szacunek - wyzbyty groteskowego i głupiego poczucia wyższości - i tym żywsze braterstwo winno nas łączyć z Rosjanami walczącymi o wolność. Jeszcze kilka lat temu i w Polsce nie było dużo odważnych, by przeciwstawić się systemowi policyjnemu i totalitarnemu - gdy policzyć zaś Rosjan, którzy się odważyli, gdy porównać represje, można czuć tylko podziw i szacunek.

Im trudniej niż nam - bo są po dziesięcioleciach najkrwawszego terroru wewnętrznego w dziejach świata, po straszliwej i w znacznej części krwawej selekcji negatywnej dokonującej się od tak dawna, a represje karne biją w nich mocniej i bezwzględniej.

My, Polacy, nie chcemy też pamiętać, gdy mowa o Rosjanach, że co prawda ZSRR jest dziedzicem i kontynuatorem dążeń i stylu nawet caratu; że w związku z tym nacjonalizm rosyjski odgrywa ogromną rolę w ekspansji sowieckiej - ale zarazem sowietyzm, usiłując zniszczyć tożsamość narodową Polaków, Litwinów, Łotyszów, Ukraińców, Gruzinów, Ormian itd. - z wielką mocą niszczy też tożsamość narodową, tradycję, kulturę Rosjan. Sowietyzm jest groźny i zabójczy zarówno dla Polaków, jak i dla Rosjan.

Szczególne miejsce w naszej świadomości winny zajmować narody litewski, białoruski i ukraiński. Należy tu raz jeszcze przypomnieć kazanie ks. Jana Zieji w archikatedrze św. Jana w Warszawie 17 IX 1975 roku, które - wierzę w to - jest faktem o znaczeniu historycznym nie tylko w płaszczyźnie moralnej, choć o moralne pryncypia w nim chodziło. Są to narody przez wieki związane wspólnym z nami losem. Mało zdajemy sobie sprawę jednak, że mniej sobie one chwala tę wspólnotę losów niż my. Polonizacja elit szlacheckich na Litwie i Rusi zepchnęła te narody do rzędu „niehistorycznych” ludów, które dopiero w drugiej połowie XIX wieku z trudem zaczęły wytwarzać swe nowe elity, inteligencję. Polonizacja była co prawda procesem naturalnym, bez użycia siły - ale była też

zarazem klęską opóźniającą wytworzenie się narodów sensu stricto. Tego się łatwo nie zapomina. Ukraińcy pamiętają ponadto dobrze wiek XVII i XVIII, tzn. pamiętają straszliwe, barbarzyńskie polskie pacyfikacje buntów kozackich i ukraińskich chłopskich powstań - nie chcą natomiast pamiętać o straszliwościach mordów na Polakach i Żydach w 1648 roku i o rzezi humańskiej. Polacy - odwrotnie. I-sza Rzeczpospolita nie zostawiła zbyt dobrych wspomnień.

II-ga Rzeczpospolita tego nie naprawiła. Przeciwnie. Polsko-litewski konflikt o Wilno był, to prawda, trudny do załatwienia. Obydwa narody czuły się związane z tym miastem emocjonalnie - podczas gdy (rzadko o tym pamiętamy) przynajmniej południowo-zachodnia Wileńszczyzna, włącznie z Wilnem, miała większość etnicznie polską. Rozwiązania federacyjnego, do którego parł Piłsudski, mało kto sobie życzył, udaremnił je ostatecznie polscy nacjonałiści. Do dziś Litwini żywią do nas zapiekłą niechęć za Wilno - pomnożoną o pamięć idiotycznego roku, gdy ulicami polskich miast przeciągały pochody skandujące: "Wodzu - prowadź nas na Kowno!", jakby w polskim godle narodowym widniał nie biały orzeł, lecz Koziołek Matołek. My do dziś żywimy do Litwinów niechęć za to, że wydali z siebie w czasie drugiej wojny światowej formacje kolaboracyjne, szczególnie dotkliwe dla Polaków (jeszcze bardziej dla Żydów). To błędne koło musimy przerwać! Gdy w Kownie doszło niedawno do rozruchów na tle narodowo-religijnym - nastrój solidarności (niestety - tylko nastrój) był w Polsce powszechny. Może to dobry omen.

Z łagodnymi, cichymi Białorusinami nigdy nie mieliśmy tak ostrych konfliktów jak z Ukraińcami. Warto jednak

przypomnieć, że II-ga Rzeczpospolita też zostawiła wobec nich bilans win, pod postacią tendencji polonizacyjnych, wyrażających się głównie upośledzeniem szkolnictwa białoruskiego. Naszym dążeniem powinno być, by tego rodzaju zjawiska nie powtórzyły się. Najgorzej było z Ukraińcami. Pierwszą wojną II-giej Rzeczypospolitej była - o czym nie każdy pamięta - polsko-ukraińska wojna we Wschodniej Galicji. Lwów zrósł się przez wieki z historią i kulturą Polski do tego stopnia, że - będąc miastem, w którym ludność polska wyraźnie przeważała nad ukraińską - trudno było sobie wyobrazić w owym czasie rezygnację z niego. Rozstrzygnęła siła. To smutne, ale nie niezwykle w dziejach, że dwa narody nie znajdują innego rozwiązania konfliktów jak wojna. Rachunek krzywd ukraińskich zaczyna się później. Irredenta ukraińska, nieustannie stymulowana przez - nie ma co ukrywać - faszyzujących nacjonalistów ukraińskich szukających oparcia to w Niemczech, to w niechętnej nam Pradze - była trudnym problemem dla II-giej Rzeczypospolitej. A jednak wojewoda Józewski na Wołyniu umiał rozładowywać napięcia i dla dobra Rzeczypospolitej popierać kulturalne inspiracje ukraińskie. Ignorowanie narodowych i kulturalnych potrzeb Ukraińców było drogą donikąd. Pacyfikacje - tak jak były robione - są hańbą, niezależnie od tego, jak trudną sytuację stwarzali aktami terroru i sabotażu nacjonałiści ukraińscy. Dla przyszłości obydwu narodów lepiej byłoby, gdyby okres II-giej Rzeczypospolitej został w pamięci Ukraińców jako epoka, w której we Wschodniej Galicji i na Wołyniu kwitły instytucje kulturalne; ukraińskie pod mecenatem Rzeczypospolitej, z uniwersytetem ukraińskim we Lwowie na czele. Ten dorobek profitowałby do dziś i dłużej dla obu narodów. Stało się inaczej.

Druga wojna światowa nierówno obciążyła rachunki win, które obydwie narody wzajemnie sobie wypominają. Tym razem niewiele mieliśmy sobie do wyrzucenia. Za to zaraz po wojnie, gdy oddziały UPA po klęskach zadanych im przez armię sowiecką zostały zepchnięte na południowo-wschodnie krańce protektoratu polskiego i rozgorzała walka w Bieszczadach - pomysł załatwienia problemu, jaki stanowiła partyzantka ukraińska na tych ziemiach, przez zamienienie ich w pustynię, tj. przez wysiedlenie Łemków i rozproszenie ich po Polsce - był pomysłem szatańskim, który zrodził się zapewne w głowie któregoś z „doradców z KGB, praktykujących z talentem rzymską zasadę divide et impera - a znających precedensy na skalę o ileż większą ze swego kraju.

Jeszcze tylko parę zdań o naszych stosunkach z Czechami, choć o tym już była wzmianka. Czesi bynajmniej nie mają podstaw, by mieć wobec nas wyłącznie czyste sumienie. Jednostronne rozwiązanie za pomocą siły zbrojnej problemu Śląska Zaolziańskiego w momencie, gdy ważyło się istnienie państwa polskiego w 1920 roku - nie przynosi Czechom zaszczytu. Ale udział Polski w rozbiórce Czechosłowacji, wraz z Hitlerem, był mimo to haniebny. W 1968 roku, a więc w 30 lat później, polskie wojska wzięły udział w okupacji Czechosłowacji. W pięknym songu o Hradcu Kralovym, który śpiewa się od 1968 roku do dziś w środowiskach opozycyjnej młodzieży, słusznie jest to ujęte w publicystycznej ostatniej zwrotce: "Nie z twojego to rozkazu grzmiały buty wojskowe, lecz co ty zrobiłeś, co ty zrobiłeś dla Hradca Kralove?". Naród

polski nie może odpowiadać za władzę narzuconą nam przez obcych i na obcej głównie sile opartą - ale fakt, że w wielkim kraju, o pięknych tradycjach walki o "naszą wolność i waszą", głos protestu podnieśli tylko Jerzy Andrzejewski i Zygmunt Mycielski w swych listach do czeskich i słowackich braci - oraz mała grupka studentów w Warszawie, próbujących rozpowszechniać ulotki ze sprzeciwem - nie przynosi nam, którzyśmy się bali, zaszczytu. Gorzej: można było spotkać ludzi tak niemądrych, że akceptowali tę inwazję, bzdurząc bezmyślnie a to o zagrożeniu niemieckim, a to o wrogości Czechów wobec nas... Megalomania narodowa i ksenofobia znów złożyły się na to, że akurat wobec tych, którzy powinni nam być zawsze, a w szczególności dziś szczególnie bliscy, wobec braci zza Sudetów, zza Olzy i zza Karpat okazaliśmy małostkowy brak solidarności.

Każdy Polak powinien dziś rozumieć, że dwie są racje, moralna i polityczna, dla których dziś nasze tradycyjne fobie i megalomanie wobec wszystkich otaczających nas narodów są samobójstwem: racja moralna - oraz okoliczność, że jesteśmy już w dużym stopniu zatruci sowietyzmem, że grozi nam utrata więzi duchowej z naszą przeszłością i z kulturą Zachodu, z tradycjami etycznymi chrześcijaństwa; to, co dawniej było plamą na naszych dziejach i na naszej mentalności narodowej - plamą analogiczną do zauważalnych u wielu innych narodów - dziś może okazać się zwiastunem śmierci i rozkładu; racja polityczna mówi nam, że trzeba liczyć się z tezą, według której od grozy śmierci i rozkładu uwolnimy się albo wszyscy razem, zarówno narody ZSRR, jak i narody od ZSRR zależne - albo nikt. Znikome jest prawdopodobieństwo, by totalitarny i trzymający w ryzach narody wchodzące w

skład ZSRR sowietyzm mógł być zmuszony do wypuszczenia z pazurów swej zdobyczy, którą dziś jesteśmy w jakimś stopniu.

Antysemityzm jest tak różnym rodzajem ksenofobii, o tak odmiennej funkcji i roli w historii, że wymaga osobnego omówienia.

Przede wszystkim pytanie, czy jest to ksenofobia. Gdy w Polsce żyli ludzie różniący się wszystkim: językiem, poczuciem narodowym, religią, tradycją, obyczajem, często ubiorem itd. i antysemityzm ku nim się kierował - była to zapewne ksenofobia. Gdy antysemityzm obejmował też ludzi nie różniących się językiem i ubiorem i oderwanych już od religii swych przodków - można by mniemać, że jednak działało się tak z powodu ich rzeczywistej czy domniemanej solidarności z tamtymi - i wciąż była to ksenofobia. Gdy jednak przenosił się na ludzi często od pokoleń spolonizowanych, niejednokrotnie wyznających nie formalnie, lecz faktycznie tę samą religię co większość Polaków, przesiąkniętych polską kulturą do szpiku kości, a często nawet mających za sobą działalność niepodległościową i walkę o wolność Polski - to już coś więcej i gorzej niż zwykła ksenofobia, która jest zjawiskiem ujemnym i niepożądanym, niekoniecznie jednak zawadzającym o psychopatologię społeczną.

Jedyną możliwością uzasadnienia takiego antysemityzmu jest rasizm - często podświadomy, głośno nie wyznawany. Przeświadczenie o mniejszej, niepełnej wartości ludzi ze względu na ich biologiczne, rasowe determinanty jest jednak nie do pogodzenia z naszym chrześcijańskim spadkiem etycznym, z przykazaniem miłości bliźniego i Pawłowym "nie masz

Greczyna ani Żyda".

W praktyce znamy jeszcze inną próbę uzasadnienia, religijną, pseudochrześcijańską. Odrzucenie Chrystusa przez Żydów - a nawet wzięcie na siebie i potomnych Jego krwi, przelanej pod ich naciskiem - miałyby spowodować dla Żydów skutki analogiczne do grzechu pierwotnego ludzkości, a więc immanentne zło, które przyjęli w siebie. Konstrukcja to raczej kołtuńska niż teologiczna i modelowo antychrześcijańska.

Chrześcijaństwo nie zna winy zbiorowej ani dziedziczenia winy, ani zbiorowej odpowiedzialności za winę. Grzech pierworodny w teologii chrześcijańskiej nie jest dziedziczeniem winy, lecz skażeniem natury ludzkiej. Może więc Żydzi, według tej koncepcji, mieliby naturę ludzką podwójnie skażoną? W takim razie jako bliźni winni być przedmiotem szczególnej troski, a nie prześladowań - chrzest zaś ostatecznie zmywałby to skażenie, co dla endeckiego i oenerowskiego kołtuna jest koncepcją nie do przyjęcia. Ale II-gi Sobór Watykański, po wiekach tolerowania takiej postawy, a nawet jej faktycznego, choć dyskretnego zaadoptowania, odrzucił i ten wariant uzasadnienia antysemityzmu. Szkoda, że tak późno, dobrze, że tak się stało. Istotnym składnikiem etyki chrześcijańskiej, przyswojonej zarówno przez wierzących, jak i niewierzących, jest przeświadczenie, że człowieka oceniać można tylko po jego czynach, że każdy człowiek jest pod tym względem równy (wierzący dodadzą: wobec Boga), i że żadna ocena jego uczynków nie może uchylić nakazu miłości bliźniego.

Niemniej jednak w chrześcijańskim od wieków narodzie polskim - antysemityzm zakorzenił się w

sposób budzący niepokój.

Antysemityzm - czy antysemityzmy? Wiemy dobrze, jak szeroka to skala zjawisk: od poczucia wyższości i pogardy (najbardziej groteskowy rodzaj ksenofobii - wobec narodu, który odkrył czy też wynalazł jedyne, wszechogarniającego, wszechmocnego, czysto duchowego Boga; który wydał z siebie tylu wielkich uczonych, artystów, pisarzy, co proporcjonalnie chyba żaden inny naród świata; który dał dowody nadludzkiej niezłomności, przez tysiąclecia zachowując w warunkach jak najbardziej niesprzyjających swą religię, kulturę, tożsamość), przez poczucie zagrożenia i stąd płynące dyskryminacje różnego rodzaju, aż po nienawiść wyzwalającą się w masowych mordach. Nie można powiedzieć, że to wszystko jedno i to samo - różnica jest ogromna, niemniej jednak mają rację i ci, którzy wskazują, jak łatwo formy łagodniejsze i "pocziwe" antysemityzmu stają się pożywką dla form najgroźniejszych. Wszystkie zaś one - niejednakowo co prawda - są nie do pogodzenia z nakazem miłości bliźniego.

Historia Polski przez wieki należała w tej dziedzinie do najpiękniejszych (stosunkowo) w Europie. Tumulty i inne odrażające zjawiska zdarzały się i w Rzeczypospolitej, nie na skalę jednak straszliwych pogromów średniowiecznych w Zachodniej Europie. Światli królowie i elita rządząca umieli rozsądnie sterować współżyciem narodów w Rzeczypospolitej. Paweł Jasienica w "Polsce Jagiellonów" ze słuszną dumą wskazuje na braci Józefowiczów, z których jeden, wychrzta (protoplasta rodu Józefowiczów-Hlebnickich), został jednym z najwyższych dostojników Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a drugi, pozostając

przy wyznaniu mojżeszowym, został przez Zygmunta Starego pasowany na rycerza. W Złotym Wieku wszystko to było jeszcze możliwe: Żyd pasowany rycerzem, chłop jednym z czołowych poetów epoki, mieszczanie w elicie intelektualnej, a nawet politycznej.

Mimo jednak późniejszego upadku państwa i narodu - dopiero druga połowa wieku XIX przyniosła początki "nowoczesnego" antysemityzmu ("nowoczesnego" - tzn. wykraczającego poza szlacheckie poczucie niedopuszczalności przekraczania barier stanowych - i wyznaniową awersję). Było to już wówczas, gdy w okresie walk o niepodległość ukształtowała się tradycja, znaczone imieniem oficera Insurekcji i Legionów Berka Joselewicza, poległego pod Kockiem w 1809 roku (mniej pamięta się o żołnierzach jego pułku, skrwawionego w 1794 w obronie Pragi) i jego rówieśnika oraz krajana z Litwy Jankiela z "Pana Tadeusza"; tradycja rabinów Meiselsa i Cyłkowa wprowadzających język polski do synagog, solidarnych z katolickim klerem w walce przeciw rosyjskiemu zaborcy; tradycje manifestacji na Krakowskim Przedmieściu w 1861 roku, gdy po salwie, od której padł zakonnik niosący na czele pochodu krzyż - młody uczeń szkoły rabinackiej, Landy, wzniósł znowu krzyż do góry ("krzyż Polaków" - czytamy w relacjach) , by paść od następnej salwy; tradycja Żydów-oficerów i żołnierzy Powstania Styczniowego. Tradycje te były zawsze hamulcem, choć jakże niedoskonałym, dla polskiego antysemityzmu, mimo że zostały wzmocnione tradycją żarliwych patriotów polskich żydowskiego pochodzenia, walczących o polską kulturę i naukę, o polską oświatę pod zaborami - a później znowu udziałem Żydów w czynie zbrojnym

Legionów. Bolesław Prus genialnie uchwycił ten proces, gdy na progu nowej epoki, wywołanej industrializacją w Królestwie, drogi tych, którzy byli solidarni w roku 1863, rozchodzą się, gdy Żydzi zostają odepchnięci od polskości; dla dra Szumana, wrośniętego w kulturę polską - to tragedia; dla Szlangbauma, nie zasymilowanego w tym stopniu, to przesłanka do poczucia się obcym. Pamiętajmy, że oni obydwaj - jak Wokulski! - są powstańcami 1863 roku!

Nastroje antysemityczne, coraz bardziej nurtujące polskie mieszczaństwo, a podniecane przez prowokacje Ochrany w innych częściach imperium carów i w Królestwie Polskim (wiadomo już dziś mniej więcej, kto organizował fale pogromów po 1905 roku i skąd poszły w świat "Protokoły Mędrców Syjonu") - weszły do ideologii i praktyki endecji, stopniowo wyostrzając się i coraz wyraźniej dehumanizując: od hasła bojkotu ekonomicznego przez kwestionowanie praw obywatelskich mniejszości żydowskiej - aż do krwawych pogromów w miasteczkach i na wyższych uczelniach, czyli od Ligi Narodowej przez Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne i Obóz Wielkiej Polski - do ONR i grup młodoendekkich. Pojawiły się nawet głosy w prasie ONR postulujące eksterminację Żydów w Polsce.

Niestety, odpór społeczny był za słaby. Główna, najsilniejsza partia polskiej lewicy, PPS, silna w środowiskach robotniczych - była słaba na uczelniach, skąd głównie rekrutowały się bojówki ONR. Lewicowa i liberalna inteligencja zdobywała się na piękne dowody solidarności z ofiarami bojówek - ale były to głównie akty indywidualnej odwagi (ciekawe, że zdarzały się i wśród starej profesury endeckiej). Władza, coraz

bardziej ewoluująca po śmierci Piłsudskiego ku faszyzującej prawicy, nie próbowała zbyt energicznie przeszkadzać awanturom, wyprawianym częściowo przez grupy znajdujące się w opozycji wobec sanacji, częściowo jednak przez jej sojuszników (ONR "Falanga"). Kościół przyglądał się temu obojętnie (z wyjątkiem tak drastycznych wypadków jak pobicie w kościele księdza Pudra, neofity), a nawet część prasy katolickiej (np. "Mały Dziennik") popierała antysemityzm.

W tej sytuacji nadeszła wojna i okupacja, wraz ze straszną eksterminacją Żydów przez okupanta. Ocena egzaminu zdanego w tej sytuacji przez Polaków nie może być niestety prosta i jednoznaczna.

Na Zachodzie, głównie w środowiskach żydowskich, porażonych tragedią zagłady milionów, pojawiły się nieodpowiedzialne i prawie nic nie mające wspólnego z rzeczywistością oskarżenia narodu polskiego o współuczestnictwo w eksterminacji. Pojawiły się nawet obelżywe określenia, jak "naród szmalcowników". Antypolonizm powinien być uważany za postawę nie mniej hańbiącą niż antysemityzm. Zdanie "wszyscy Polacy to antysemita" lub "wszyscy Polacy to pijusy" jest tyleż warte, co "wszyscy Żydzi są oszustami".

Zjawisko tzw. "szmalcownictwa", tzn. szantażu uprawianego na ukrywających się Żydach oraz współpracy z gestapo przy ich tępieniu, wypominane Polakom na Zachodzie i przez wielu Żydów - było marginesem. Każde społeczeństwo ma swój margines zbrodniczy. Dla Żydów był to margines tak groźny, że wielu z nich mogło mieć nim przesłoniętą całą resztę Polski. Nie można winić o takie zdefiniowane

widzenie proporcji ludzi, którzy przez kilka lat byli obiektem polowania. Trzeba jednak pamiętać, że gestapo umiało, posługując się zdrajcami, nie tylko wyłapywać ukrywających się Żydów, lecz dekonspirować całe jednostki podziemnej armii (por. wpadka dyspozycyjnego oddziału dywersyjnego KG AK "Osa-Kosa") i działaczy tego nawet szczebla co Komendant Główny AK "Grot"-Rowecki. Nie o antysemityzm więc w zasadzie chodziło, lecz o obrzydliwy proceder, kierujący się przecinko wszystkim, których tropiło gestapo.

W zapędzie polemicznym przeciw krzywdzącym opiniom o stosunku społeczeństwa polskiego do Żydów - nie bez złej woli peerelowska propaganda uogólniała, że jest to stanowisko ogółu Żydów na świecie, co jest kłamstwem o tendencji antysemickiej, obliczonym na złą informację. Długa jest lista - i zapewne nie zamknięta - Polaków odznaczonych izraelskim medalem "Sprawiedliwy między Narodami". Świadczy ona, że Żydzi w Izraelu doceniają zasługi Polaków dla ratowania Żydów w Polsce podczas drugiej wojny światowej. Co więcej - przy okazji nadania niedawno tegoż medalu b. szefowi kierownictwa Walki Podziemnej Instytut Yad Vashem rozstrzygający o nadaniu odznaczenia w uzasadnieniu wskazał oficjalnie na zasługi polskiego państwa podziemnego w tej sprawie. Uczni żydowscy, tacy jak Philip Friedman, przyczynili się istotnie do zbadania prawdy o udziale Polaków w ratowaniu Żydów. Antypolonizmu wśród części Żydów na Zachodzie nie można przypisywać całej zbiorowości - jak nie wolno całemu narodowi polskiemu przypisywać antysemityzmu.

Trzeba jednak z bólem, lecz odważnie powiedzieć, że prawda w tej sprawie nie wydaje się też tak prosta i jasna, jak to nieraz bywa przedstawiane. Nie prześladowaniem i tropieniem ukrywających się Żydów zawinili głównie Polacy, mimo że byli wśród nas uprawiający taki proceder - lecz obojętnością. To prawda, że trzeba było aż bohaterstwa, by Żydów ratować. Znam ludzi schwytyanych przez Niemców z bronią w ręku, którzy jednak przeżyli w obozach koncentracyjnych - nie znam człowieka ukrywającego Żyda, który by przeżył wpadkę - ani o takim nie słyszałem. Co więcej: żołnierz AK wiedział, że jeśli zostanie aresztowany, czekają go tortury, może aresztują jego żonę, zapewne wkrótce rozstrzelają go; ale mógł liczyć, że małe dzieci ocaleją. Kto ukrywał Żyda - i na to nie mógł liczyć. Tej ceny nie płacili Francuzi czy Holendrzy - mimo to ich sukcesy w ratowaniu Żydów nie wydają się zawrotne - a winy Francuzów przy wydawaniu Żydów nawet znaczne. Wysiłek społeczeństwa polskiego w dziedzinie ratowania Żydów był duży, godny szacunku, opłacony sówicie krwią - i nie pozbawiony sukcesów. Obok poszczególnych osób i rodzin ratujących swych przyjaciół, a często przypadkowo obcych ludzi - działały także instytucje jak Rada Pomocy Żydom, korzystająca z poparcia i pomocy Podziemnego Państwa Polskiego. Stanowisko polskich władz było w tej sprawie jasne. Sądzę jednak, że znaczna część społeczeństwa była obojętna wobec zagłady Żydów - i że winę za to ponosi m.in. panoszenie się antysemityzmu przed wojną. Ba, konspiracyjna prasa skrajnej prawicy jest nadal antysemicka w czasie wojny! Co więcej - czy naprawdę nie słyszeliśmy w czasie okupacji zdania: "Po wojnie Hitlerowi postawi się pomnik! "? Gdyby nie zatruwano narodu polskiego

przed wojną antysemityzmem - z pewnością mniej byłoby obojętnych. Nie byłoby też może tych mętów, które w miasteczkach Mazowsza zareagowały na wywożenie z gett ludzi, współobywateli - rabunkiem i brutalnością (pisał o tym otwarcie - protestując i grożąc represjami "Biuletyn Informacyjny", oficjalny organ AK).

Historia antysemityzmu w Polsce na tym się nie kończy. Bezpośrednio po wojnie krajem wstrząsnęła wiadomość o pogromie kieleckim. Wiele wskazuje na to, że była to prowokacja NKWD i bezpieki. Trzeba było opinii Zachodu przedstawić Polskę jako kraj w gruncie rzeczy zhitlerzony, w którym tylko komuniści mogą zaprowadzić porządek. Ale dowodów na to nie mamy w stu procentach, gdyby zaś nawet znalazły się - pozostaje faktem, że tego rodzaju prowokacje udać się mogą tylko wówczas, gdy padają na glebę gotową je przyjąć.

Lata stalinowskie przyniosły stymulację antysemityzmu. Stało się to, co było do przewidzenia przed wojną, jak to zwykle bywa z mniejszościami nieterytorialnymi, podlegającymi różnym dyskryminacjom, skrajna internacjonalistyczna lewica była popularna wśród młodzieży i inteligencji żydowskiej - toteż w aparacie nowej władzy, a szczególnie w aparacie ucisku (nazywając po imieniu - w bezpiece) znalazło się niemało Żydów lub ludzi żydowskiego pochodzenia. Kto wie, czy nie towarzyszył temu zjawisku makiawelizm, płynący z Centrali w Moskwie; mniejszości dobrze się do takiej roli nadają dzięki swemu wyobcowaniu (por. krwawa rola Polaków, Żydów, Łotyszów w CzeKa), a w razie czego dobrze nadają się i do roli kozła ofiarnego

To zjawisko - udział znacznej części ocalałych Żydów polskich, a również Polaków żydowskiego pochodzenia w bezpieczeńce i... w całym aparacie komunistycznej władzy - nałożyło się na pamięć roku 1939, gdy znaczna część ludności żydowskiej Kresów Wschodnich z demonstracyjną radością - krótkotrwałą - powitała załamanie się Rzeczypospolitej i okupację. Nie wolno jednak pamiętać tylko o tym, a zapominać np. o heroicznych aktach lojalności przywódców Bundu, Altera i Ehrlicha, wobec Rzeczypospolitej i o ich proteście wobec władz sowieckich. Przypląciła to życiem po niewielu latach - a więc nie weszli do Panteonu pamięci polskiej.

Październik 1956 roku pokazał jednak - mimo odosobnionych ekscesów - że motywacje antysemickie nie są tak silne, by spowodować spontaniczne a groźne działania społeczne, choć tlą się do dziś. Po kilku latach jednak podjęta została zorganizowana próba wykorzystania tego motywu w walce politycznej. Grupa idąca do władzy pod wodzą Mieczysława Moczara rzuciła zrazu pół jawnie, w 1967 jawnie, a w 1968 z fanfarami i werblami hasło antysemityzmu (pod pretekstowym i wprowadzającym w błąd hasłem walki ze syjonizmem). Był to zresztą cały kompleks chwytów propagandowych, które wstyd nazwać ideologią, lecz w tej roli jednak użytych: "patriotyzm" podbijający bębenka megalomanii narodowej ("my Polacy złote ptacy" - jak w wyliczance dziecinnej), kurs na bezkrytyczny stosunek do mitów narodowych, próba ich przywłaszczenia, apelowanie do przeciętnej mentalności kombatanckiej, militaryzacja wyobraźni.

propaganda represywnego działania wymiaru sprawiedliwości, ksenofobia skierowana m.in. przeciw

naszym związkom z Zachodem oraz poczuciu solidarności z Czechami i Słowakami. Pewne sukcesy odniesiono, ale akurat nie w kampanii antysemitkiej. Były obawy, że ta bardziej poruszy społeczeństwo, które zareagowało jednak ospale i ostrożnie, a w poważniejszej części niż można się było spodziewać - niechętnie, nawet wrogo. Sam fakt, że płynęło to z góry - skazywał akcję na mierne tylko powodzenie. W gruncie rzeczy okazało się, że już tylko aparat i aktyw partyjny (plus przybudówki tego typu co np. PAX, o tradycjach oenerowskich) są zainteresowane tą sprawą, na tej samej zasadzie, na której przed wojną drobnomieszczanin polski nienawidził Żyda - konkurenta. Drobnomieszczanina zastąpił kołtun partyjny, nienawidzący konkurenta do eksponowanego biurka - co w roku 1968 było jeszcze aktualne. Szczególnie młodzież w swej masie przyjęła wrogo antysemityzm.

Wypchnięcie z Polski w 1968 roku tysięcy Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia jest jedną z hańb w dziejach naszego kraju. Policyjny antysemityzm sowiecki, szalejący w ZSRR wówczas, gdy nic go jeszcze nie zapowiadało w PRL (m.in. wymordowanie znacznej części inteligencji żydowskiej w ZSRR, w tym prawie wszystkich pisarzy używających języka jidisz) - został teraz przeszczepiony do nas. Nie bez racji po paru miesiącach cała czołówka "marcowych" publicystów partyjnych udekorowana została Złotymi Odznakami Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Obok niepowetowanych strat moralnych, które ludzie ci i ich sojusznicy z aparatu spowodowali - odnotować trzeba straty również przeliczalne: w exodusie z Polski tych, co nerwowo nie wytrzymali - nie brak było trudnych do zastąpienia fachowców.

Nie poczuwam się do wspólnej ojczyzny z marcowymi publicystami i aparatczykami organizującymi w 1968 roku antysemicką nagonkę. Wstydzę się za kombatantów ze ZBOWiD-u, którzy pozwolili, by wykorzystano ich przeszłość do firmowania tej ohydy. Byli wśród nich, niestety, moi towarzysze broni, różnych rang, z AK.

Z różnymi odmianami ksenofobii idzie w parze megalomania narodowa. "My Polacy złote ptacy". Jesteśmy niby nieporównanie lepsi, mądrzejsi, bardziej utalentowani itd. od wszystkich narodów świata, a w szczególności od tych, którzy żyją bliżej nas. Już ksiądz Dębołęcki napisał na ten temat stek bzdur na początku XVII wieku i tak to trwa i rozwija się.

W beznadziejnej sytuacji międzynarodowej, po upadku Powstania Listopadowego, rozkwitł polski mesjanizm. Najwięksi nasi poeci i myśliciele zaangażowali się w tę ideę. Była w niej autentyczna wielkość, uskrzydłona ich geniuszem. Myślę, że odegrało to jakąś rolę w przetrwaniu klęsk, choć pytanie, czy nie przyczyniało się do następnych. Ale spadek, który do dziś przechowwał się w przeciętnej mentalności jako tako wykształconego Polaka po tych romantycznych wzlotach jest żaloszny: poczucie jakiejś szczególnej wyższości tylko z tego tytułu, że jest się Polakiem, poczucie wyższości często doprawionej religijną egzaltacją. Może zresztą egzaltacja to za duże słowo: to raczej karykatura egzaltacji, wyzywająca się w narodowo-religijnej rekwizytorni.

Warto i należy zwrócić uwagę na splot wątków narodowych z religijnymi w tej postawie (ma to zresztą

tę dobrą stronę, że patriotyczna tromtadracja partyjno-zbowidowska słabo dociera do społeczeństwa). Co to znaczy "Polak-katolik", o tym pisał obszernie, kompetentnie i celnie Bohdan Cywiński w "Rodowodach niepokornych". Chciałbym tu zwrócić mimo to uwagę na parę aspektów tej sprawy - bo dla odpowiedzi na pytanie "patriotyzm - ale jaki?" mają one zasadnicze znaczenie.

Hasło-twierdzenie o nierozłączności polskości i katolicyzmu może mieć różne interpretacje. Rzuca się je przeważnie bez bliższego sprecyzowania - i dzieje się to tak często, że można dopatrzeć się w tym metody. Ponieważ slogan ten w najbardziej narzucającej się interpretacji może znaczyć, że kto nie jest katolikiem, nie jest pełnowartościowym, zupełnym Polakiem (jeśli jest w ogóle Polakiem sensu stricto) - należałoby za każdym razem, gdy się nim ktoś posłuży, wyraźnie zaznaczyć, czy o to rozumienie go właśnie chodzi. Niedawno można było przeczytać o nierozłączności polskości i katolicyzmu w artykule księdza Sroki w gdańskim "Bratniaku". Autor, interpelowany przeze mnie osobiście, odpowiedział, że został źle zrozumiany, chodzi mianowicie o to, że katolicyzm wywarł tak wielki i wielostronny wpływ na kulturę polską, tak w nią wrósł, że kultura ta jako całość nie da się od katolicyzmu oderwać bez utraty swej tożsamości. Jest to teza rozsądna i nikogo nie powinna dotyczyć, choć też mogłaby być przedmiotem dyskusji, można by np. spytać, wiedząc jak mocno prawosławie zdeterminowało kulturę Rosji, czy gdyby odrodzenie religijne Rosji dokonało się nieoczekiwanie przez połączenie ze Stolicą Piotrową - nastąpiłaby nie poważna zmiana w narodzie rosyjskim, lecz w ogóle utrata przezeń tożsamości narodowej? Czy -

uogólniając - katolicyzacja jakiegokolwiek narodu niechrześcijańskiego musi spowodować jego wynarodowienie? Ale zostawmy tę dyskusję na boku - bardziej mi chodzi o pierwszą interpretację polsko-katolickiego hasła, dość powszechną, jak mi się zdaje, wszędzie tam, gdzie spotykamy się jednocześnie z ksenofobią i megalomanią narodową, a wciąż żywioną niesprecyzowanymi zdaniem, które tu rozważamy.

Sens pierwszy bowiem jest zarówno fałszem, jak i złą przysługą wyrządzoną tradycji narodowej oraz dzisiejszemu stanowi poczucia narodowego. Wyobcowuje bowiem z tradycji narodowej ogromne i ważne jej obszary, a z dzisiejszego życia narodowego tych ludzi, którzy do katolicyzmu się nie poczuwają.

Co w dziejach i tradycji polskiej jest niekatolickie? Pomijając epizody, które mało wpłynęły na bieg naszych dziejów, jak np. polski husytyzm - zacząć trzeba od polskiej tradycji reformacji i protestantyzmu. Niemalże to w XVI i XVII wieku tradycje, tradycje Mikołaja Reya i arian polskich, tradycje współżycia różnych wyznań w tolerancji, przypieczętowane aktem Konfederacji Warszawskiej. Nie brak protestantów wśród naszych bohaterów narodowych (przykład: generał Sowiński), nie brak pastorów wśród narodowych działaczy polskich. To prawda, że Kościół katolicki odegrał wielką rolę w trwaniu przy polskości, szczególnie pod zaborem pruskim i na dalekich kresach pod zaborem rosyjskim. Ale na Śląsku Cieszyńskim i na Mazurach polskość pielęgnowały zbory ewangelickie i ich pastory. Ostatnim aktem heroicznej postawy narodowej ewangelików polskich było męczeństwo nieugiętych pastorów i działaczy w okresie okupacji hitlerowskiej. Symboliczne jest tu

nazwisko Bursche - ale nie jedyne. Wkład polskich protestantów w kulturę polską i w walkę o byt narodowy jest tak wielki, że wszelkie próby wyłączenia ich z naszej polskiej wspólnoty narodowej muszą budzić ostry sprzeciw.

Podobnie nie sposób zgodzić się na zanegowanie żywego bogatego udziału w kulturze polskiej od czasów Oświecenia, a ze szczególną intensywnością od okresu pozytywizmu, bezwyznaniowego nurtu laickiego, często ateistycznego, niekiedy agnostycznego, wśród nich większości bohaterów "Rodowodów niepokornych". Bohdana Cywińskiego i ich kontynuatorów. Trudno wyobrazić sobie kulturę polską ostatniego stulecia bez Edwarda Abramowskiego i małżeństwa Dawidów, bez Wacława Nałkowskiego i Ignacego Redlińskiego, bez Stefana Żeromskiego i Andrzeja Struga, bez Stefana Czarnowskiego i Tadeusza Kotarbińskiego, bez Edwarda Lipińskiego oraz Marii i Stanisława Ossowskich, bez Antoniego Słonimskiego i Marii Dąbrowskiej, bez Leszka Kołakowskiego. A są to nazwiska sygnały, reprezentujące tu często całe szkoły i nurty myśli polskiej, setki nazwisk Polaków, którzy wnieśli ogromny i niezatarty wkład w dorobek polskiej kultury.

Jedną z odmian ksenofobii jest kult "swojskości" przeciwstawiany "modom" płynącym ze świata (głównie z Zachodu). Dziwaczność tej postawy polega głównie na tym, że jej rzecznicy przeważnie głoszą zarazem tezy o naszym związku z kulturą Zachodu. Dziwny związek, który ma polegać na izolowaniu się. Wygląda na to, jakby zwolennicy tej postawy uważali, że związki związkami - ale już starczy tego dobrego.

Postawa to śmieszna i nonsensowna. Żadnej kulturze nie wyszła jeszcze izolacja na dobre. Polacy doświadczyli tego na sobie w znacznym stopniu. Od braci Czechów wzięliśmy chrześcijaństwo, zaszczerpione następnie przez Czechów, Niemców i innych ludzi z Zachodu. Po naukę zaczęli Polacy jeździć do Paryża, Pragi, na włoskie i niemieckie uniwersytety, zrazu cieniutkim strumyczkiem, poszerzającym się stale z korzyścią dla naszej kultury. Zachodni mentorzy, Niemcy i Francuzi, uczyli nas wznosić budowle romańskie, a później gotyckie, wypełnione rzeźbami i obrazami, będącymi dziełem cechowych artystów - Niemców. Obyczaj zachodnioeuropejskiego rycerstwa przyjął się w Polsce. Sprowadzone z Zachodu zakony krzewiły cywilizację i kulturę. Poczynając od końca XV wieku zaczęliśmy czerpać pełnymi garściami z Włoch, przeżywających Renesans, a potem z całej renesansowej Zachodniej Europy, sprowadzając stamtąd artystów, pisarzy i uczonych. Cała elita polska kształciła się na zachodnioeuropejskich uniwersytetach, głównie we Włoszech i w Niemczech. Z Niemiec przyszła Reformacja, która wzbogaciła polskie życie umysłowe. Z bliskiego Orientu turecko-tatarskiego szlachta polska brała stroje, wyposażenie wnętrz, broń (i niestety barbarzyński zwyczaj wbijania na pal). W literaturze polskiej od XVI wieku widać gołym okiem inspiracje płynące z Włoch, Niemiec, Francji, Hiszpanii. Dopiero wiek XVIII przyniósł ze sobą osłabienie tych więzów i osłabnięcie importu kultury, ze skutkiem dla Polski tragicznym. Na szczęście już od połowy XVIII wieku więzy te znów się wzmocniły, artyści polscy znów jeżdżą do Włoch po naukę, światła część arystokracji - nie tylko po fraczek i perukę, lecz i

po myśl oświeceniową, która rozkwitła Komisją Edukacji Narodowej i reformami Sejmu Wielkiego. I odtąd czerpiemy nadal pełnymi garściami; z Zachodu przychodzi romantyzm i pozytywizm, symbolizm i impresjonizm, ekspresjonizm i futurizm.

Są to rzeczy znane i oczywiste - ale wciąż muszą być przypomniane. Kultura polska rozkwita zawsze w symbiozie z tymi podnietami, a nie w opozycji do nich. Rzadko kiedy czerpaliśmy tak obficie, jak w wieku XVI - z tak pięknym sukcesem dla kultury narodowej. Mickiewicz jest cały przesiąknięty zachodnim romantyzmem - i zarazem oryginalny, twórczy, niezwykły. I tak dalej. Przerwanie tego rodzaju związków wpędzić nas może co najwyżej w neosarmatyzm, podobny do sarmatyzmu epoki saskiej.

Boli nieraz, że znacznie więcej wzięliśmy, niż daliśmy. W całości kultury europejskiej liczy się co prawda nie tylko eksport, lecz sam fakt stworzenia oryginalnych wartości, niemniej jednak chcielibyśmy w syntezie europejskiej brać udział nie tylko przez sam fakt posiadania dla siebie bogatej kultury. Z nielicznymi wyjątkami - nasze wpływy są tylko regionalne. Wiele zawdzięczają im Ukraińcy, Białorusini, Litwini - mało Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi. W sytuacji o ileż lepszej są Rosjanie - z Dostojewskim i Tołstojem, staroruskim malarstwem cerkiewnym... Myślę, że bez megalomanii narodowej można mniemać, że Europa dużo traci przez faktyczną nieznajomość Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. Zna natomiast już stosunkowo nieźle Gombrowicza i Witkacego. To też jest wskazówką, że oryginalne wartości artystyczne, mające szansę przekraczania granic naszej kultury narodowej, powstają nadal na rozstajnych drogach

wiodących ze świata do nas - i w świat z powrotem.

Myśli tu wyrażone nie są odkryciami, a wiele zagadnień tu poruszonych wymagałoby z pewnością pogłębienia. Wyobrażam sobie jednak, że dla dość licznej grupy czytelników będą to myśli co najmniej kontrowersyjne, a częściowo nie do przyjęcia. Dlatego właśnie powstał ten szkic, z myślą o tym, jak bardzo rozpowszechnia się w Polsce ksenofobia i megalomania narodowa, choć nie sądzę, by było to zawsze równoznaczne z ostrym szowinizmem. W dodatku w różnych sprawach granice postaw zacierają się poważnie, trochę na skutek doświadczeń historycznych, nie sprzyjających rozkwitowi postaw chrześcijańskich w stosunkach między narodami, trochę na skutek nawyków wychowania - tak że w rezultacie i autor tych uwag łapie się niekiedy na tym, że to co pisze uważa co prawda za słuszne, ale bynajmniej nie może stwierdzić, by przyswoił sobie w zupełności, we wszystkich punktach postawę, którą głosi, tak by kierowała jego reakcjami emocjonalnymi bez potknięć. Tym potrzebniejsze jest propagowanie tej postawy. Jestem przekonany, że jednym z najistotniejszych zagadnień naszej teraźniejszości i przyszłości jest wyzbycie się megalomanii narodowej i ksenofobii, a przynajmniej ich stępienie do stanu niegroźnego dla dalszych losów narodu polskiego. Jeśli to się nie stanie - byle agent, przebrawszy się w ułańskie czako i zawiesiwszy ryngraf na piersi, poprowadzi naród dokąd zechce, podbijając bębenka „dumy narodowej” i manipulując fobiami; stracimy wszelkie szansę, nawet jeśli się one otworzą, współdziałania z innymi, jak my uciskanymi przez sowietyzm narodami - a tymczasem nie wolno nam czekać na szczęśliwe zbiegi okoliczności, musimy

zacząć pracować nad zbudowaniem solidarności uciskanych; zamkniemy w rezultacie sobie drogę do Zachodniej Europy, w której widzimy naszą kolebkę kulturową - na zawsze; nie łudźmy się, że jeszcze w tej Europie się znajdujemy; może trochę: wspomnieniami, tęsknotami, pragnieniami. Z roku na rok pogrążamy się coraz głębiej w sowietyzm, rozkładający nasz system wartości, więzi społeczne, widzenie przez nas samych naszych tradycji narodowych. Czasami wydaje się, jakbyśmy sami pchali się ku temu, tak wyglądało w 1968 roku. Miejmy nadzieję jednak, że naród nasz okaże się za mądry na tego rodzaju manipulacje.

Tekst przedrukujemy za podziemnym wydawnictwem NOW-a, w którym ukazał się w roku 1981

Cały tekst:

<http://wyborcza.pl/1,120013,3640733.html#ixzz4HObw5dt5>